

Spotkanie – Dialog – Wytrwanie. Dwadzieścia lat partnerstwa

Normalnie nigdy bym do Polski nie przyjechał. Dorastałem nad Renem i w Westfalii w rodzinie frankofilskiej. Normalnymi były dla mnie takie kraje, jak Francja, Anglia, Włochy. Ale Polska?

Pewnego razu mój nauczyciel geografii wpadł w złość, ponieważ w 1970 roku, jeszcze przed zawarciem Układu Warszawskiego, narysowałem mapę 'Środkowych Niemiec', w środku tej mapy napisałem 'NRD' bez „", a na skraju mapy, po prawej stronie, za czarną linią granicy – 'Polska'. Dostałem dwóję i poczułem się trochę jak męczennik polityczny. Trzy lata później, po maturze, spotkałem na uniwersytecie letnim w La Rochelle studentkę romanistyki z Warszawy. W ogóle nie mogłem sobie wyobrazić, że jeszcze ją kiedyś spotkam. Dwa lata później dostałem zaproszenie i pojechałem do niej. Pod każdym względem było to nawrócenie.

Do dzisiaj nie potrafię spisać wszystkich moich przeżyć z września 1975 roku, tego wszystkiego, co mojemu życiu nadało zasadniczy kierunek. Nie pojmowałem, dlaczego ja, brodac z długimi włosami, stałem się zaczepiany na ulicy i pytany po niemiecku o wymianę pieniędzy. Spotkałem ludzi, dla których byłem pierwszym Niemcem bez munduru Wehrmachtu. Jakaś kobieta w pociągu, która nauczyła się niemieckiego w obozie koncentracyjnym Buchenwald, dała mi do jedzenia połowę swojego pieczonego kurczaka, ludzie, którzy nigdy jeszcze dobrowolnie nie wpuścili do swojego domu Niemca, pozwalali mi spać pod swoim dachem. Nie chciałem już być Niemcem, we Francji też nim nie byłem. Po tem pojechałem do Auschwitz. W Auschwitz

zdradziłem się, gdy czytałem dokumenty i listy wyłożone w witrynach, obok których przechodziły masy polskich zwiedzających; w Birkenau przesunąłem dłonią po trawie w pobliżu krematorium II i z przerażeniem zobaczyłem na moich palcach odłamki kości. Byłem Niemcem. Nie mogłem być nikim innym.

Po powrocie do Düsseldorfu szukałem możliwości przepracowania tego, co przeżyłem. Polska i sprawy polsko-niemieckie stały się tematem mojego życia. Kochałem i słuchałem Chopina. I chciałem poznać prawdę. Przecież musiało istnieć jakieś towarzystwo niemiecko-polskie, jakiś ekwiwalent do Towarzystwa Niemiecko-Brytyjskiego, do Klubu Anglo-Amerykańskiego, do Instytutu Francuskiego. W książce telefonicznej znalazłem informację. Wtedy było to jedyne towarzystwo tego rodzaju w całej RFN, utworzone w 1950 roku, i z powodu swojego opowiedzenia się za porozumieniem i normalizacją stosunków z Polską, za uznaniem granic i wszystkich konsekwencji wojny, w dużym stopniu wykluczone z politycznego spektrum. Współpracowałem z tym towarzystwem, napisałem artykuł dla gazety studenckiej. Znów pojechałem do Polski. Ożeniłem się. Od 1990 roku jestem zastępcą przewodniczącego Niemiecko-Polskiego Towarzystwa Zdrowia Psychicznego.

Od roku 1980 pracowałem jako lekarz w szpitalu psychiatrycznym w Langenfeld. Podczas moich odwiedzin w Polsce zapoznałem się z początkami psychiatrii środowiskowej w Warszawie. Moi polscy koledzy mieli dobre kontakty z Kalifornią i Szkocją. W mojej klinice było wielu pacjentów, którzy po wojnie przybyli z Polski w transporcie Czerwonego Krzyża.

Jeden z nich, mężczyzna upośledzony umysłowo, potrzebował mnie jako lekarza do leczenia swojej cukrzycy. Pochodził z Zagłębia Ruhry, podczas wojny był w Międzyrzeczu – Obrzyce. Potem ukazała się książka Ernsta Klee o eutanazji. Następnego ranka spotkałem pana W. Spytałem go o Międzyrzecz. „Tak, doktorze” powiedział, „ale ja przeżyłem”. Przeraziłem się i ze wstydu nie wiedziałem, co powiedzieć.

W Langenfeld było małe kółko robocze. Chcieliśmy przygotować wystawę na temat historii naszej kliniki w Trzeciej Rzeszy. W marcu 1985 roku byliśmy gotowi. W międzyczasie pojechałem do Krakowa. Przyciągnął mnie tam kongres tamtejszego Towarzystwa Lekarskiego i wystąpienie profesora Józefa Bogusza pt. „Wojna, okupacja i medycyna”. Cztery lata po wprowadzeniu stanu wojennego miasto sprawiało wrażenie smutnego i pustego. W auli Uniwersytetu Jagiellońskiego siedział Klaus Dörner, którego znałem przelotnie z imprez DGSP (Deutsche Gesellschaft für Sportmedizin und Prävention – Niemieckie Towarzystwo Medycyny Sportowej i Prewencji). Zagadnął mnie jakiś polski kolega mniej więcej w moim wieku. Wieczorem, w jego mieszkaniu wypiliśmy butelkę wódki i jedliśmy kielbasę. Gdy na zewnątrz zrobiło się już jasno, położyłem się w pokoju na tapczanie. Jak przez mgłę doszło do mnie, że chwilę później dwoje dzieci przygotowywało się do pójścia do szkoły. Wydawały się nie być zdziwione na widok gościa, który znienacka pojawił się w nocy w ich mieszkaniu. Wkrótce potem Andrzej obudził mnie na śniadanie. Magda spodziewała się swojego trzeciego dziecka. Opowiadałem o mojej ciężarnej żonie w domu.

W południe szliśmy z Christine Teller, Klausem Dörnerem i Adamem Szymusikiem, kierownikiem psychiatrii krakowskiej, na obiad przez Rynek. Opowiadałem Klausowi o naszej wystawie w Langenfeld, i że mieliśmy zamiar pojechać śladami deportowanych pacjentów do Hadamar. Klaus spytał mnie, czy w Polsce można swobodnie podróżować. Chciał pojechać do miejsc deportacji niemieckich pacjen-

tów w okupowanej wtedy Polsce. Adam zaproponował, żeby po obiedzie spotkać się na kawie u niego w biurze. Omówiliśmy ten pomysł. Zlecił Andrzejowi utrzymywanie z nami kontaktu. Wieczorem Christine zapytała mnie, czy nie chcę wracać do Gütersloh.

Teraz miałem zorganizować podróż do Polski. Było to kuszące, ale równocześnie przerażające. Bałem się ogromu spraw organizacyjnych. Potrzebne były wizy, w Polsce trzeba było meldować się na policji. Właściwie potrzebne było jakieś biuro podróży. A w większości miejsc, które chcieliśmy odwiedzić, nie było hoteli. Nie wiedziałem, jak miałem utrzymywać kontakt z polskimi partnerami. W Polsce można było prowadzić rozmowy telefoniczne z zagranicą tylko w bardzo ograniczonym zakresie. Na ręcznie zamówioną rozmowę można było czekać do 8 godzin. Samodzielne wybieranie numeru stanowiło niewymowną torturę. Fax był nieznanym, e-mail i SMS jeszcze niewynaleziony. List wędrował ok. 10 – 14 dni i nie zawsze dochodził. A potem jako organizator miałem jeszcze wypełnić 12 stron formularza w celu uzyskania dla jednej z uczestniczek podróży akceptacji zgodnie z Hamburgską Ustawą o Doksztalcaniu Pracowników. Odsuwałem od siebie te sprawy.

W grudniu 1986 roku pojechałem na otwarcie Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży w Auschwitz i znów byłem u Andrzeja i Adama w Krakowie. Spytałem Adama, czy nie mógłby mi pomóc. W ciągu kilku minut połączył się telefonicznie z dyrektorami w Warcie, Gnieźnie, Międzyrzeczu i zapowiedział moją wizytę. Wszędzie przyjmowano mnie bardzo miło. Autobusem przedsiębiorstwa SSK „Extratour” odbyliśmy w dniach od 30 kwietnia do 10 maja z grupą 28 osób pracujących w psychiatrii podróż do Polski. O tej pielgrzymce wiele już powiedziano i napisano. Położyła ona kamień węgielny. Dla mnie było to największe wydarzenie w stosunkach polskiej i niemieckiej psychiatrii.

Trzy lata później założyliśmy Towarzystwo.